Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 43. Poniedziałek, 22 Lutego 1926 r. Rok II.

ŁÓDZKIE Echo WIECZORNE

10 groszy.

Numer niedzielny 10 gr.

Redakcja: Zawadzka 1. Administracja: Piotrkowska 11. Telefony: 38-28, 228 i 229.
Redakcja otwarta od godz. 8 rano do 4 po poł. Administracja czynna od godz. 8 rano do 7 wiecz. bez przerwy.
Redaktor lub jego zastępca oraz 'yrekto vdawnictwa przyjmują od godz'- 1 do 3 po południu.

Wychodzi o godz. 2-ej po poł.

Samobójstwo oficera w Warszawie.

Redukcja i kłopoty mieszkaniowe pchnęły go w objęcia śmierci.

(Od własnego korespondenta).

Z powodu otrzymania zawiadomienia o zamierzonej redukcji, a także z powodu ciągłych kłopotów mieszkaniowych, pozbawił się życia porucznik Skudro z Oficerskiej Szkoły Inżynieryjnej w Warszawie. Denat pozostawił żonę i czteroletnie dziecko

—o—

Ujęcie sprawców ohydnego morderstwa pod Piotrkowem.

Pomimo zupełnego braku poszlak, policja znalazła zbrodniarzy

Dnia 6-ego lutego Piotrków został zaalarmowany wiadomością o ohydnem morderstwie **dokonanem przez nieznanych sprawców na gajowym leśnictwa Meszcze w powiecie piotrkowskim.**

Około godziny 18 wieczorem znaleziono w lesie **niezastygłe jeszcze zwłoki**

gajowego Konstantego Dybczyńskiego,

energicznego i służbistego funkcjonarjusza, który był postrachem kłusowników.

Głowa przedstawiała

bezkształtną masę

i mózg rozprysnął się dookoła pod strasznym ciosem, zadanym leżącym opodal karabinem. Karabin ten był własnością zamordowanego. Siła uderzenia była tak wielka, że kolba karabinu złamała się na kilka kawałków. Nie znaleziono żadnych najmniejszych nawet śladów, któreby mogły naprowadzić na ślady sprawców.

Policja stała zatem przed zadaniem nadzwyczaj trudnem; jednak wytężona i umiejętna praca kilkunastu dni **doprowadziła onegdaj do**

rozwiązania krwawej zagadki.

Mordercami okazali się dwai mieszkańcy Piotrkowa, przedmieścia Bugaj, — mianowicie **Andrzej Penczak i Jan Chwistak, obaj liczący po 29 lat.**

Wybrali się do lasu w celu łowienia kuropatw na sidła i zostali **przy tem zaskoczeni przez gajowego Konstantego Dybczyńskiego. Gajowy obu zaaresztował i eskortował do leśnictwa w celu zrobienia protokółu. W chwili nieuwagi wywrwali mu karabin i**

strasznym ciosem w głowę

zadali mu śmierć. Na ubraniu jednego z nich znaleziono ślady krwi i masę mózgowa zamordowanego, wobec czego przyznali się od winy.

—o—



P. Marja Rozwadowiczowa, utalentowana artystka Teatru Miejskiego odtwarzała z nadzwyczajnym sukcesem rolę „Kopciuszka" podczas ostatnich przedstawień tej uscenizowanej bajki.

Francja szuka swego Mussoliniego.

Powrót do parlamentu p. Tardieu obudził nowe nadzieje i obawy.

— Kto będzie francuskim Mussolinim?

To pytanie słychać obecnie w Paryżu, powtarzane w kółko. Istotnie, przyznać trzeba — niech to będzie pociechą dla tych, którzy oskarżają nasz Sejm o bezpłodność — że parlament francuski w ostatnich dwóch tygodniach mocno, i to w oczach wszystkich się zdyskredytował.

Prawica i lewica, większość rządowa (lewa) i opozycja (prawa) gadają bez końca i nie mogą się zgodzić co do sosu, w jakim mają zjeść „podatkowiczów". A tymczasem

skarb państwa się wypróżnia

i grożą mu wkrótce. beznadziejne „pustki".

Dlatego też duże i niemiłe w sferach rządowych wrażenie zrobiło przy uzupełniających wyborach w Belforcie

zwycięstwo pana Tardieu,

najbliższego współpracownika Starego Clemenceau, przezwanego „moralnym synem tygrysa".

Tygrysem zwano, jak wiadomo, p. Clemenceau.

Tardieu, człowiek niezmiernie pracowity i energiczny, przepadł podczas wyborów 11 maja 1924 r., kiedy to cała Francja przechyliła się ku lewicy. Zdawało się, że i tym razem mu się nie poszczęści, gdyż najwięksi przywódcy większości rządowej, panowie Leon Blum i Frossard, oraz znakomity adwokat Moro-Giaferri od kilku tygodni wykonali ogromny wysiłek krasomówczy, by tego niepożądanego gościa do parlamentu nie dopuścić.

Jednakże ku ogólnemu zdziwieniu ludność robotnicza, proletarjacka, oddała swe głosy za kandydatem prawicy. Pan Tardieu wejdzie zatem do Izby jako szef opozycji.

Czy będzie Mussolinim?...

Należy w to wątpić. Co innego Francja, a co innego Włochy.

We Francji jednakowoż 55 lat republiki swoje zrobiło i nie wyobrażam sobie, by naród ten zgodził się na pewne, zbyt daleko idące ekscesy dyktatury. Niewątpliwie, jednak p. Tardieu

odegra dużą bardzo rolę.

Jakby tam nie było, p. Tardieu jest

wielkim człowiekiem przyszłości.

Warto zatem zaznaczyć, że p. Tardieu jes jednym z

z autorów traktatu wersalskiego

i że podczas kongresu popierał bardzo energicznie polskie stanowisko.

Zwalczał on wytrawnie antypolskie tendencje p. Lloyd George'a.

H. K. K.

Przebiegłość czerwonych katów.

Hrabia Pirro — krwawy „konsul brazylijski

był faktycznie współpracownikiem czerezwyczajki kijowskiej.

Sensacyjny pamiętnik Łotysza.

W 1919 roku głośna była na południu Rosji, szczególniej w Kijowie, sprawa „konsula brazylijskiego hr. Pirro", ofiarą którego padły setki obywateli kijowskich. Sprawa ta miała przebieg następujący:

„PRZEDSTAWICIEL BRAZYLJI".

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Kijowa w styczniu 1919 roku ukazało się w prasie sowieckiej ogłoszenie, zawiadamiające „obywateli brazylijskich", że Brazylja uznała Rosję sowiecką i że przedstawiciel tego państwa przybywa do Kijowa w celu przeprowadzenia rejestracji obywateli brazylijskich. Po kilku miesiącach „przedstawiciel Brazylji" rzeczywiście przybył do Kijowa. Władze sowieckie oddały do jego dyspozycji wspaniały gmach przy ulicy Podwalnej, gdzie rozlokowały się biura konsulatu.

GRZECZNY KONSUL.

Konsul hr. Piro, władający biegle kilkoma językami, zdołał w krótkim czasie zawrzeć wiele znajomości w kołach „nie wytępionej" jeszcze burżuazji kijowskiej. Kilku swoim znajomym powiedział on, że może ułatwić im wyjazd zagranicę, uznając ich za obywateli brazylijskich.

Wystarczyło to, ażeby do komisarjatu rozpoczęli się zwracać liczni przedstawiciele zamożniejszej ludności miasta, prosząc konsula o nadanie im obywatelstwa brazylijskiego. „Konsul" nie dawał prawie odpowiedzi odmownych. Wielu mieszkańców Kijowa otrzymało „paszporty brazylijskie" i wyjechało w stronę granicy, wywożąc swoje pieniądze i kosztowności.

DO WKROCZENIA WOJSK DENIKINA.

Nikt jednak granicy tej nie przekroczył. Władze sowieckie aresztowały wszystkich łatwowiernych, których natychmiast rozstrzeliwano. Działalność „konsulatu brazylijskiego" trwała do wkroczenia wojsk gen. Denikina do Kijowa. Przed zajęciem Kijowa przez armję ochotniczą „hr. Pirro" znikł, wszystkich zaś urzędników konsulatu rozstrzelano. Wyznaczona przez generała Denikina komisja przeprowadziła śledztwo w tej sprawie, o której dużo pisano w wydawnictwach, poświęconych dziejom rewolucji rosyjskiej.

PLACÓWKA CZREZWYCZAJKI KIJOWSKIEJ.

Istniały wszelkie poszlaki, że organizacja „konsulatu brazylijskiego" była zwykła prowokacja GPU. Sprawa ta znalazła ostateczne wyświetlenie i potwierdzenie w pamiętnikach jej głównego bohatera „hr. Pirro". Były członek partji komunistycznej w Rosji, łotysz, znany działacz sowiecki Pirro, który zbiegł przed dwoma miesiącami z Rosji i oddał się w ręce władz łotewskich stwierdza w swych pamiętnikach ogłaszanych obecnie przez prasę łotewską że jest winowajcą śmierci kilkuset ofiar prowokacji, którą organizował jako współpracownik czrezwyczajki kijowskiej.

Bicz redukcji spadnie znowu na urzędników państwowych

Już 1 marca nastąpi wymawianie posad.

Kończy się niedługo pierwszy kwartał w którym „przejściowo" obowiązywała uchwała Rady ministrów o obniżeniu poborów urzędniczych o 4,5 i 6 proc.

Minister skarbu p. Zdziechowski wystosował wczoraj pismo okólne do wszystkich ministrów, w którem przypomina, że z dn. 1 kwietnia r. b. przywrócone być mają pobory z dn. 1-go grudnia ubiegłego roku.

Ten powrót do dawnych płac urzędniczych odbyć się musi

bez uszczerbku

dla skarbu państwa.

Wychodząc z tej zasady, min. Zdziechowski poleca wszystkim ministerstwom, aby niezwłocznie przystąpiły

do redukcji pracowników

zatrudnionych w poszczególnych urzędach

Już w dniu 1 marca niepotrzebni urzędnicy będą mieli wymówione posady, a zaoszczędzona na tej redukcji suma pozwoli na podwyższenie płac tym, którzy zostaną

Okólnik min. Zdziechowskiego przewiduje, że część urzędników zwolnionych obecnie, będzie można zatrudnić w służbie państwowej po przeprowadzeniu reorganizacji administracji.

Gra ról.

Komedja Luidgi Pirandella. Występ Stanisława Stanisławskiego.

Analiza istoty życia, dokonana z jednej strony przez przenikliwego, zrównoważonego i konsekwentnego Leona Galla — jako uosobienie kulturalnej męskości, zaś z drugiej przez jego żonę Sylwję, jako reprezentantkę ducha kobiecości—oto kwintesencja sztuki, pełnej błyskotliwych, iście „Shaw'owskich" paradoksów i wykwintnego humoru.



P. Stanisław Stanisławski.

Galla pragnie wyzwolić się z konwencjonalizmu życiowego kłamstwa i dochodzi drogą filozoficznych rozważań i duchowego ćwiczenia do stoicyzmu, jakiegoby mu mogli pozazdrościć starożytni mistrzowie. Patrzy na własne życie, jak na trzymanego w klatce królika, w którym w każdej chwili można zatopić wiwisekcyjny nóż filozoficznego badacza.

Żona jego Sylwja na pierwszy rzut oka pragnie tego samego. Chce uciec od dotychczasowego życia, od konwenansów i otoczenia, które ją krępuje tysiącznemi węzami przyzwyczajeń i skłonności i znaleźć siebie. Przyczyną tych pragnień i dążeń nie jest u niej jednak myślowy rezultat wysiłków, jak u jej męża, lecz nuda i pragnienie zmian, główne motory kobiecego postępowania. Jest zatem rzeczą naturalną, że uśmiechnięta i zrezygnowana filozofja życia Galli odnosi zwycięstwo nad nieoblicz. impulsywnością i brakiem logiki Sylwji.

Znakomity artysta dał prawdziwy koncert gry. Leon Galla p. Stanisławskiego żył i przemawiał do widza tą bezpośredniością, jaką w takie postacie potrafią tchnąć tylko wielcy odtwórcy. P. Żmijewska dowiodła, że jest niepoślednim talentem i że nawet w zestawieniu z takim luminarzem sceny, jak p. Stanisławski, potrafi utrzymać się na wysokości zadania.

P. Grolicki w roli amanta Sylwji starał się dostosować do swych doskonałych partnerów, co mu się też udawało.

P. Tatarkiewicz tym razem nieco przeholował w roli doktora, ale należy pamiętać, że był zajęty przygotowaniem wczorajszej premjery bajki „O Królewnie Śnieżce".

P. Szubert, w roli kucharza Galli wywoływał salwy śmiechu.

Dekoracje p. Kudewicza bardzo udane. Reżyserja bez zarzutu.

F. P.

„Królowa Snieżka i Siedmiu Karłów".

Baśń fantastyczna ze śpiewami i tańcami w 6 aktach (9 obrazach)

Wczorajsza premjera znanej bajki w opracowaniu p. Tatarkiewicza, była prawdziwem świętem nietylko dla dzieci, ale nawet dla dorosłych, którzy tłumnie przybyli do przybytku przy ulicy Cegielnianej.

Nadzwyczaj pomysłowe i bajecznie kolorowe dekoracje przynoszą zaszczyt p. Kudewiczowi. Wielostronność i oryginalność tego artysty palety świadczą o tem, że jego talent nietylko się nie wyczerpuje, ale wkracza na coraz nowsze drogi rozwoju. Tańce młodocianych adeptek Terpsychory zasługują na szczególne uznanie, albowiem były wykonane bez zarzutu przez dzieci i panienki, dla których występy sceniczne nie są rzeczą zwykłą. Za tańcami nie pozostawała w tyle muzyka, która nietylko doskonale akompaniowała śpiewom i tańcom, ale urozmaicała także liczne antrakty.

P. Gryf-Olszewska jest już benjaminkiem widzów, więc wszelkie słowa są zbyteczne. Reszta artystów dostroiła się do całości. Rzecz doskonała i warta obejrzenia nawet przez dorosłych.



Nadużycia przy dostawach wojskowych.

Z Przemyśla donoszą:

W ostatnim tygodniu wpadła kontrola wojskowa w Przemyślu na ślad wielkich nadużyć przy dostawach wojskowych. Intendentura oddała przemiał zboża młynowi ks. Marji Lubomirskiej w Hermanowicach, dzierżawionemu przez niejakiego Hałasińskiego.

Okazało się przy dostawie, że brakowało 10 wagonów zboża. Na ten temat krążą rozmaite wersje. Dotychczas — jak słychać — szkodę częściowo wyrównano. W sprawie tej toczą się dochodzenia.

„Polros otrzyma wkrótce zamówienia sowieckie.

Zamówienia sowieckie dla „Polrosu" mają wpłynąć przy końcu następnego tygodnia. Sprawa doznała zwłoki wskutek pewnych trudności natury technicznej. W każdym bądź razie należy zaznaczyć, że sfery zainteresowane mają nadzieję otrzymać w najbliższym czasie z Rosji Sowieckiej poważniejsze zamówienia z branży włókienniczej, metalowej, galanteryjnej i chemicznej.

Wśród płci pięknej niema brzydkich kobiet.

—o—

Każda kobieta posiada powaby dla tego, kto umie je dojrzeć.

Czy kobieta nieładna ma szanse zamążpójścia?

To ostatnie pytanie może zawsze najwięcej interesowało kobiety a zwłaszcza te, którym natura odmówiła ujmującej powierzchowności i zalet fizycznej piękności. Daje na to odpowiedź kilka amerykańskich autorek, a między innemi najpopularniejsza z pośród nich nowojorska literatka, Dorota Dux.

KOBIETYPIĘKNE NIE ZAWSZE ZWYCIĘŻAJĄ.

Twierdzi ona na podstawie bogatego doświadczenia i długoletnich obserwacyj, że niewiasta brzydka bynajmniej nie ma tak mało szans zdobycia miłości mężczyzny, jak to ogólnie ludzie mniemają. Każda kobieta, gdyby to od niej zależało, chciałaby być piękną i powabną i kto wie, czy nie wolałaby wyzbyć się swoich zalet wewnętrznych, duchowych czy umysłowych na korzyść fizycznych walorów. Ale wielki znak zapytania, czy dobrzeby na tem wyszła. Kobiety od najmłodszych lat przywykły słuchać komplementów i peanów na cześć ich urody, a wiedzą także bardzo dobrze, że pierwsze spojrzenie przedstawiciela „płci brzydkiej" ocenia wszystkie szczegóły piękności i pierwsze pytanie zawsze brzmi: czy ładna? Możnaby mniemać, że kobiety piękne stale zwyciężają w walce o mężczyznę, jednak nie zawsze tak bywa.

WRAŻENIE PIĘKNOŚCI JEST PRZEMIJAJĄCE.

W pierwszej linji uroda jest rzeczą subjektywną i dlatego każda kobieta posiada powaby dla tego, kto umie je dojrzeć. Tak zwana piękność, to znaczy regularność rysów nie wszystkim mężczyznom się podoba, a nawet coraz częściej przejawia się wśród nich niechęć do twarzy „idealnych", „anielskich", inaczej „lalkowatych", które bardzo często są bez wyrazu. Niejeden woli mniej ładną buzię, za to więcej zajmującą.

Wogóle dziewczęta nieładne nich się pociesza, że chociaż mężczyźni lubią podziwiać urodziwe kobiety, ale nie lubią się z niemi żenić, instynktownie bowiem przeczuwają, iż kobiety powierzchownie upośledzone, rozwijają w sobie inne walory, mające większe znaczenie w małżeństwie.

Piękne dziewczę, zazwyczaj rozpieszczone od dziecka, zwykle ma zbyt wysokie aspiracje i dużo kaprysów. Zapatrzone jak narcyz w swoją urodę, która wydaje jej się niedoścignioną, nie pamięta o kultywowaniu piękna wewnętrznego, staje się grymaśnicą i egoistką. A przecież wrażenie, jakie czyni piękność powierzchowna, jest przemijające. Mężczyzna do niej przywyka, i przestaje go ona olśniewać, zajmować, natomiast przykre wady pozostają i tem ostrzej odcinają się na tle uroczej postaci.

KOBIETA MIŁOŚCI MĘŻOWSKIEJ NIE ZDOBYWA „PRZEZ ŻOŁĄDEK".

Mylne jest mniemanie, jakoby miłość męża zdobywało się „przez żołądek". Bezwątpienia, jest to jeden z dość ważnych czynników, jednak nie najważniejszy. Mężczyzna, gdy wróci do domu, zmęczony ciężką czasem pracą zawodową, lubi spokój i wygodę, lubi mieć wszystko w porządku i na czas, niech jednak niewiasty nie mniemają, że jest mu obojętna osoba żony.

Zapewne niema ochoty jej nadskakiwać i prawić czułych słówek i wyszukanych komplementów, jak to może czynił w czasie „konkurów", czy narzeczeństwa. Ten mąż może nieco zobojętniał, może zleniwiał, nie należy mu jednak brać tego za złe najczęściej bowiem kocha swą żonę. Nie należy jeno wymagać odeń zbyt wiele, nie należy żądać pieszczot, od których odwykł, lub do których się przyzwyczaił.

A MĄŻ PATRZY...

Natomiast zasadniczym błędem ze strony niektórych żon jest kompletne zaniedbanie. Pani domu — „kapłanka domowego znicza" — chodzi brudna, nieuczesana, siada do wspólnego stołu zapracowana, spocona, pokryta kurzem, nierzadko z pierzem i słomą we włosach, pozostałemi z energicznych „porządków". A mąż patrzy, patrzy, porównywuje ją z innemi kobietami i obojętnieje, albo nawet czuje do niej niechęć. O ileby ten obiad, czasem niedobry, przypalony czy przesolony, lepiej smakował „panu i władcy", gdyby widział obok siebie żonę czystą i schludną, uśmiechniętą i wesołą...

DOBRA ŻONA:

Niech niewiasta będzie przyjacielem, rozumiejącym dobrze kłopoty swego męża, niech umie wżyć się w nastrój, w jakiem do domu przychodzi, niech go pocieszy gdy zatroskany jest i zmartwiony jakiemś niepowodzeniem w pracy zawodowej, niech także cieszy się i weseli razem z nim, gdy jest rozradowany i wesół.

— I niech umie cierpliwie i z zainteresowaniem słuchać, co mąż opowiada, choćby o tem już dawno słyszała, choćby to były rzeczy nudne, czcze i błahe.

Gdy do tych warunków się zastosuje może mieć pewność, że będzie szczęśliwa i kochana przez męża.

Tak twierdzą amerykańskie autorki...

L.

Z rozmówek łódzkich.



Pan I: — Słuchaj, , oznacza ten węzełek na twojej chusteczce?
Pan II: — Prosiła mnie żona, bym nie zapomniał rzucić listu do skrzynki pocztowej.
Pan I: — No i co — zapomniałeś?
Pan II: — Nie, tylko żona zapomniała dać mi listu w domu.

STUART MARTIN.

Biały szpic i zbrodniarz.

W chwili, w której Mistres Cromer wlewała do szklanki gorące mleko, które lokator ich codziennie przed spaniem wypijał, do małej kuchenki wszedł mąż jej, zamknąwszy żaluzje i drzwi frontowe, od zapyłonego i stęchlizną przesiąkłego składu aptecznego, którego był właścicielem.

Mąż jej stał obok stołu w chwili, w której wzięła szklankę z mlekiem, ażeby ją zanieść na górę, a kiedy już była przy drzwiach — rzekł do niej:

— A sprowadź psa na dół, mam kość dla niego.

Spojrzała na niego szczególnym wzrokiem, poczem skinąwszy głową, weszła po schodach do pokoju lokatora. Po kilku minutach zeszła, a w ślad za nią wywijając ogonem, zbiegł piękny, puszysty szpic. Mąż jej siedział przy kuchni, a ujrzawszy psa, wstał, wziął z półki kość, rzucił do śpiżarki, kopnął w ślad za kością psa — i zatrzasnął za nim drzwi.

— Dlaczego kazałeś mi sprowadzić psa?... — spytała szybko. — Co chcesz z nim zrobić? On chciał mu właśnie dać mleka.

— Tss... słuchaj... — szepnął Cromer.

Wśród ciszy rozległ się nagle stłumiony jęk wychodzący z pokoju lokatora, potem nastąpiło kilka sekund przerwy, poczem głuchy, stuk padającego ciała.

— No — już po naszym lokatorze! David Warne nie żyje!

— Co ty mówisz! — szepnęła błędnie... — Warne umarł?

— Na wieki wieków — Amen odrzekł Cromer z uśmiechem.

— Arturze, coś ty zrobił? !

— Siadaj słyszysz?!

Siadła posłusznie, uległa na każde jego skinienie, jak to zresztą czyniła przez wszystkie lata ich małżeńskiego pożycia.

— Oddawna już zastanawialiśmy się, jak zdobyć pieniądze Warne'a — rzekł do niej. — Przed chwilą zaniosłaś mu mleko, jak co wieczora czyniłaś — z tą różnicą, że było to po raz ostatni. David Warne nie żyje... Kazałem ci psa usunąć, ażeby przypadkiem nie wypił mleka przed Davidem. A teraz, chodźmy na górę.

Muszę zastąpić tamto mleko innem i zanieść mu do pokoju.

Zwrócił się ku niej, za nim z dziwnym wyrazem w bladej twarzy — szła żona.

Doszedłszy do drzwi na pięterku — odchylił je, zajrzał, otworzył je na oścież — wszedł i skinął na żonę i rzekł obojętnie:

— Nie żyje. Padając uderzył się o krawędź stołu i w tem właśnie jest nasze szczęście, to nas ocali! — Ujrzawszy do połowy wypróżnioną szklankę mleka, rzekł:

— Weź teraz to mleko, wylej do zlewu, popłucz czysto szklankę, a resztę zostaw mnie.

Wzięła szklankę do połowy jeszcze wypełnioną mlekiem i zaczęła schodzić wolno.

Nagle drzwi poza nią zatrzasnęły się gwałtownie, krzyknęła przeraźliwie i zatoczyła się pod ścianę, wylewając większą część mleka na schody, nie będąc w stanie opanować rozdygotanych nerwów. Cromer otworzył drzwi, a głos jego ostrym szeptem ciął ją jak batem.

— Nie krzycz głupia, to przeciąg drzwi zatrzasnął. Zejdź na dół i czekaj na mnie!

Następnie wrzócił do pokoju nieboszczyka i rozłożył przyniesione ze sobą narzędzia najnowszej zreszą konstrukcji i zabrał się do wiercenia bocznej ściany żelaznej kasy, stojącej przy łóżku swej ofiary.

Karjera Cromera, była to jedna długa walka i wykręcanie się przed prawem. Chemik z zawodu znał się doskonale na działaniu odnośnej trucizny.

To też skorzystał z tego doświadczenia i z chwilą odejścia żony ku szafce wrzucił niedostrzegalną wprost cząstkę pewnej trucizny do szklanki gorącego mleka, przygotowanego dla swej ofiary.

David Warne bogaty kupiec sprowadził małego szpica. „Tom" wytresowany był znakomicie i nie rozstawał się ze swoim panem ani na chwilę.

Pieniądze Warne'a nie dawały Cromerowi spokoju. Plan cały opracował do najdrobniejszych szczegółów, a dziś postanowił go wykonać.

Wyborowawszy bok kasy, odgiął część płyty, a odłożywszy niepotrzebne lub trudne do zbycia papiery natrafił wreszcie z biciem serca na upragnione banknoty i te, paczka po paczce wyjmował i wkładał do kieszeni. Okazało się, że było tego w banknotach siedem tysięcy funtów oraz kilkaset drobniejszą monetą.

Narzędzia wszystkie pozostawił przy kasie; niech się policja cieszy, że znajdzie dowody, obciążające włamywacza... Zbliżywszy się nastepnie ku drzwiom, zamknął zasuwę od środka, uniemożliwiając wejście od zewnątrz, postawił świece na stole, otworzył okno i wyjrzał na ulicę. Cromer wysunął się przez okno na daszek sąsiedniej przybudówki, przyczołgał się aż do brzegu rynny i opuścił się po niej na swoje podwórko, skąd frontem wszedł do kuchni.

— Uważaj dobrze, rzekł do żony: jest kwadrans po jedenastej — lecę na policję. Powiem, że spłoszyłem włamywaczy, którzy uciekli, przeskoczywszy mur od strony ogrodu, że obawiam się, czy panu Warne nie przytrafiło się coś złego, że drzwi u niego zamknięte i nikt się nie odzywa. Ty opowiesz, siedzieliśmy w kuchni, gdy nagle usłyszeliśmy podejrzany stuk i szmery na górze. A jak policja otworzy drzwi, pamiętaj, że masz się przerazić na widok trupa...

Co do trucizny, pozostawiłem przecież świeżą szklankę mleka i w niem nic nie znajdą... A teraz idę po policję.

Kiedy policja przyszła i rozpoczęła śledztwo i indagacje, Cromerowa ściśle trzymała się wskazówek męża, nie popełniając żadnego fałszywego kroku. Stosownie do planu, w chwili wyłamania drzwi, krzyczała przeraźliwie na widok trupa.

Podczas, kiedy jeden z agentów oglądał ciało, drugi dostrzegł wyłamaną kasę. „Morderstwo rabunkowe" orzekł policjant, dając jednocześnie polecenie sprowadzenia doktora, oraz komisarza policji. Cromer ofiarował się sam to załatwić.

Po upływie kilkunastu minut doktór z komisarzem zeszli na dół do kuchni.

Komisarz chodził chwilę zamyślony, poczem mówił dalej:

— Złodziej miał na rękach rękawiczki... zapewne wszedł przez okno, ogłuszył ofiarę i zabrał się do kasy. — Przerwał nagle, gdyż z za drzwi śpiżarni, doszło go przytłumione i rozpaczliwe skomlenie psa. Komisarz podskoczył ku drzwiom, otworzył je, a biedny, zastraszony „Tom" wybiegł na kuchnię, skomląc, poczem wybiegł na schody i począł je wąchać.

— Ktoś niosąc mleko denatowi, rozlał go sporo na schodach — rzekł komisarz — pies musi być bardzo spragniony — patrz pan, jak chciwie je wylizuje... Ach... co to znaczy?...

Artur Cromer sino-blady, patrzał rozszerzonym wzrokiem na szpica.

Tom, wylizawszy mleko, stanął, sprężył się, zachwiał na łapkach i z cichem skomleniem przewróciwszy się na bok, drgnął kilkakrotnie i ucichł.

Doktór pochylił się nad nim, wziął na ręce i spojrzał badawczo na Cromera.

— Psina nie żyje!... — Panie komisarzu, jedna jest tylko trucizna o tak piorunującem działaniu — proszę kazać resztę śladów mleka zebrać i poddać analizie!

— To zbyteczne — rzekł Cromer z gorzkim uśmiechem. — Byłbym was wszystkich wyprowadził w pole — niestety! Ten psiak mnie wydał!... Trudno!... tak chciało przeznaczenie!

Nastawił z rezygnacją ręce — na które włożono mu kajdany.

—o—

Kto czem wojuje, ten od tego ginie.

—oo—

Odważni łowcy żmij.

Straszna śmierć ojca i syna.

Niezwykle kamienista okolica gór Morvan we francuskim departamencie Nierve jest poprostu zalana

potopem jadowitych żmij.

Plaga ta przybrała tak wielkie rozmiary, że lokalne władze przyznały wysokie premje pieniężne za zabicie niebezpiecznych gadów. Pomiędzy ludźmi, trudniącymi się zawodowo chwytaniem żmij, największą sławą cieszy się zamieszkała w gminie Flavigny

rodzina Terrier,

która w krótkim czasie dostarczyła

10.000 żmij.

Terrierowie w krótkim czasie doszli do tak niezwykłej wprawy w swoim zawodzie, że uważali zachowywanie wszelkich środków ostrożności za zbędne. Przed niedawnym czasem trzech członków tej rodziny natrafiło przy poszukiwaniu terenu na

gniazdo żmij,

w którem przebywało około 60 żmij. Odważni łowcy rzucili się na swoja zdobycz napełniali nią worki, przyczem jednak jeden z nich, ojciec Terrier

został ukaszony

i w krótkim czasie zmarł. Również jeden z jego synów ukaszony przez żmiję, po kilku godzinach strasznych cierpień skonał w szpitalu.

———o———

W mrokach niesamowitej zbrodni.

Policja szuka prawdziwego mordercy.

Z Chiaramanti w prowincji Sassari (Sardynja) donoszą do Rzymu o zbrodni mrożącej krew w żyłach. W stajni znaleziono mianowicie

zamordowanego sztyletem

wieśniaka Tede, jego żonę i 17-letniego syna. Dwaj młodsi chłopcy w wieku 9 i 6 lat ponieśli bardzo ciężkie rany. Ślad zbrodniarzy zupełnie zaniknął. Policja stoi narazie wobec

niesamowitej zagadki.

Prawdopodobnie jednak, wobec braku kradzieży czy rabunku, idzie o czyn zemsty na tle typowej wiejskiej „vendetty". Mianowicie — jak mówią w okolicy — Tede zanim jeszcze pojął swą żonę, utrzymywał

zażyłe stosunki z pewna mieszkanką

Chiaramanti. Następnie porzucił ją, gdyż dziewczyna była uboga, a skierował zaloty do zamożnej, choć niemłodej Łucji. Brat uwiedzionej poprzysiągł mu zemstę. Ponieważ jednak od sprawy tej

upłynęło kilka lat,

a uwiedziona dziewczyna i jej brat nie byli od szeregu lat w tej miejscowości — policja nie wie, co sądzić o tych pogłoskach, zwłaszcza, iż trudno przypuścić, aby mściciel nie zadowolił się śmiercią uwodziciela, lecz w tak straszny sposób zemścił się na całej rodzinie. Zbrodnia wywołała wstrząsające wrażenie.

———:::———

Wspaniały tort z cyfrą bohaterki wieczoru był zatruty.

Okropna zemsta nieszczęśliwej żony.

Jedna z najpiękniejszych i najpopularniejszych artystek Waszyngtonu była Ewa Douglas. Około gwiazdy wirował cały

rój męskich satelitów.

Szczęśliwym wybrańcem został Henryk Monfort, także aktor, a mąż innej aktorki Bessie Clarence. Bessie jakiś czas zupełnie nie podejrzewała o

zdradę ubóstwianego męża,

choć cały Waszyngton wiedział już o tem doskonale. Anonim odkrył jej wreszcie straszliwą prawdę. W sercu oszukanej zawrzała istna

burza zazdrości i nienawiści

tem większa, iż p. Clarence odgrywała wobec niej rolę serdecznej i oddanej przyjaciółki. Czekała tylko Bessie odpowiedniej sposobności. Nadarzyła się ona niebawem.

Z okazji 25-razowego powtórzenia sztuki, w której p. Douglas grała rolę tytułową, odbyło się u tej aktorki

wesołe zebranie towarzyskie.

Wśród nadesłanych prezentów zwrócił uwagę wspaniały

tort czekoladowy

z cyfrą bohaterki wieczoru. Pani domu skosztowała kilka kawałków tortu i poczęstowała nim także gości. Niebawem jednak nastąpiła katastrofa: p. Douglas zaczęła wić się w

najstraszliwszych kurczach

i niebawem zmarła wśród okropnych męczarni. Goście, którzy jedli tort, przypłacili to tylko chorobą. Obecnie sprawa

zatrutego tortu

się wyjaśniła i nieszczęsna Bessie stanie jako trucicielka przed sądem.

———

Śmierć panny młodej

w ślubnym powozie.

Ponury sen o zemście pierwszego męża.

Londyn. Rozegrał się tutaj obecnie wzruszający epilog

bolesnej tragedji miłosnej.

Przed sześciu miesiącami zginął wskutek wypadku automobilowego młody inżynier Paweł Cunworth. Pozostawił on młodziutką

19-letnią małżonkę Elżbietę,

którą ubóstwiał do szaleństwa. Pani Cunworth zrazu była bardzo przygnębiona śmiercią męża. Młodość i piękność mają jednak swoje prawa. Znalazł się inny, młody student praw i pani Cunworth

zakochała się w nim na zabój.

Przed kilku dniami odbyć się miała uroczystość ślubna w jednym z kościołów londyńskich. Od samego ranka była Elżbieta dziwnie nieswoja. Na nalegania kochanka oświadczyła wreszcie, iż zjawił się jej we śnie Cunworth i

zagroził śmiercią,

jeśli zdradzi go, wchodząc ponownie w związki małżeńskie.

Pan młody wyśmiał zdenerwowaną kobietę i wsiadł z nią do powozu. — Tuż jednak przed kościołem Elżbieta zerwała się z siedzenia, wyciągnęła przed siebie ręce i z okrzykiem:

„Nie, nie chcę!"

osunęła się na poduszki powozu martwa.

Lekarze mówią o udarze serca, wywołanym nerwową halucynacją. Kto wie jednak — jak było w rzeczywistości...

———

Pomimo karkołomnych zajęć życiowych nie obawiają się fatalnej trzynastki.

Klub Czarnych Kotów.

W Hollywood, królestwie sztuki kinematograficznej, zawiązał się obecnie

dziwaczny klub artystów filmowych.

Członkowie jego noszą nazwę „czarnych kotów", a jest ich tylko trzynastu. „Black cats", to ci artyści, którzy spełniają swój zawód filmowy

z ogromnem narażeniem własnego życia.

Należy tu naprzykład aktor, który przeleciał samolotem Renjon w Colorado, inny, który rzucił się ze spadochronem z balonu itd. Członkiem honorowym związku jest Reginald Denny, który — jak wiadomo — jest nietylko znakomitym artystą filmowym, lecz również

brawurowym lotnikiem.

Nie wiadomo, czy ten oryginalny klub ograniczy się do owej fatalnej trzynastki członków, czy też zechce przyjąć jeszcze innych. W każdym razie — nie składa się ten związek

z ludzi przesądnych

skoro nie obawiają się oni zupełnie trzynastki mimo karkołomnych zajęć życiowych...

———

Krateczki sądowe.



Piękna Esterka była solą w oku gospodarza.

Odtrącona miłość i jej skutki.

Dosyć już dawno, bo kilka lat przed wojną przyjechał ze Stanów Zjednoczonych do Łodzi p. Edward Munzer, który nabył przy ulicy Grossmana 4 nieduży domek drewniany i osiedlił się w nim wraz z żoną swą Martą. Dzisiaj jest pan Munzer ojcem dorosłego już syna. Bruno nie grzeszy zbytkiem wykształcenia, mimo to ma pretensje do inteligencji, ile że nosi eleganckie skrojone garnitury.

BRUNO I ESTERA.

Wśród lokatorów domku pana Munzera wyróżnia się swą pięknością Estera Szylitówna, dziewiętnaście licząca sobie wiosen. Pomimo, iż jest „bałuciarka" cieszy się bardzo dobrą opinją.

Bruno zapałał do pięknej żydóweczki gorącym afektem. Estera, aczkolwiek żywiła do Brunona uczucie szczerej przyjaźni, trzymała się w rezerwie, pomna na różnicę wyznań.

Otoczona rojem adoratorów stała się ostatnio nader oziębła i obojętna względem Brunona, unikając jego towarzystwa. — Wtedy to zaczęły się pomiędzy gospodarzami a ojcem Estery konflikty na tle komornianem.

ZEMSTA GOSPODYNI.

Najbardziej zacięta w złości na p. Esterę była pani Mala Munzerowa. W złości swej posunęła się tak daleko, iż razu pewnego rozmawiającą z przyjaciółką obok studni pannę Esterę oblała dwoma wiadrami zimnej, jak lód, wody. Nie kontentując się tem, nazwała jeszcze pannę Szylitównę wobec ludzi ulicznicą i czemś jeszcze gorszem.

U NAS W AMERYCE JEST INACZEJ.

Gdy doprowadzona do ostateczności panna Estera oświadczyła pp. Munzerom, że pociągnie ich do odpowiedzialności sądowej za ustawiczne słowne jej znieważanie, pan Munzer zapowiedział, że ją zabije, a właściwie zetnie głowę, tak, jak się to praktykuje ponoć w Ameryce.

Żyła więc panna Estera w ciągłym strachu i jakoż wkrótce obawy jej, acz nie zupełnie, ziściły się.

GOSPODARZ W ROLI OPRAWCY.

Pewnej soboty natknęła się w bramie domostwa na gospodarza, żonę jego oraz syna. Chciała ich wyminąć czemprędzej, pośpiech ten jednak nie uchronił jej od soczystych a uwłaczających jej czci epitetów. Znowu padło ohydne słowo ulicznica, a gdy panna Estera ośmieliła się słabym głosem zwrócić uwagę Munzerowi starszemu na niewłaściwość jego postępowania, ten wpadł w furję i grubą laską tak uderzył w kark pannę Szylitównę, że aż laska pękła. Mimo to pozostałą częścią bił bez litości dziewczynę.

ŚMIERĆ PRZED OCZYMA.

Panna Estera była święcie przekonana iż Munzer ma zamiar zrealizować ponurą swą groźbę. Egzekucja odbywała się na ulicy i przeraźliwe krzyki katowanej zgromadziły okolicznych mieszkańców. — Po dłuższej chwili przybiegł ojciec nieszczęśliwej i pokrwawioną i nieprzytomną odwiózł dorożką do doktora Dyneuzona na ulicę Południową nr. 28, który udzielił jej pierwszej pomocy. Otrzymawszy świadectwo obdukcji od wspomnianego lekarza wniosła panna Estera Szylitówna do sądu pokoju 6-go okręgu przeciwko Edwardowi, Mali i Brunonowi Munzerom skargę o pobicie i zniesławienie.

W dniu onegdajszym sprawę tę rozpatrywał pan sędzia Kiszmiszjon, który w rezultacie skazał Edwarda Munzera na 50 zł. grzywny, względnie 7 dni aresztu, Malę Munzerową na 20 zł. grzywny, względnie 3 dni aresztu i Brunona Munzera na 5 zł. grzywny względnie 1 dzień aresztu.

Sza-wicz.

Dzień w Łodzi.

—:—



Młody podróżnik.

Nie doszedł do celu, gdyż złapała go policja.

(x) 12-letni Józef Kokota, mieszkaniec Wieluńia, nie cieszył się

dobrą opinją

w miasteczku.

Chłopiec, pozbawiony opieki rodzicielskiej, przebywał w towarzystwie mętów małomiasteczkowych i powoli przyswoił sobie ich fach: kradzieże. Dnie całe spędzał na mieście, a najczęściej na

ruchliwym rynku,

gdzie o wszystko łatwiej.

Pewnego dnia młodociany włóczęga znikł z miasta. Wyjazd ten spostrzegły najpierw przekupki, którym poginęły nagle

rozmaite drobnostki.

Szukano więc Józka, by mu odebrać to co skradł i sprawić lanie, lecz ten był już daleko. Zabłocony, w podartej odzieży i obuwiu, po trzech dniach

przywlókł się do Łodzi.

Tu było mu o wiele gorzej! Wielkie miasto przygniotło go swoim ogromem, budowlami i ruchem.

W obcem tem środowisku czuł się zupełnie nieswojo.

Spostrzegła malca policja i zatrzymała. Wzięty do komisarjatu Józiek

przyznał się do wszystkiego.

Młodocianego wycieczkowicza, kroczącego drogą upadku odesłano pod opiekę dalekich krewnych.

Łódź będzie miała swe Ordonki, Pogorzelskie, Ławińskich i Tomów!!!

Jak się dowiadujemy, pewne konsorcjum prowadzi pertraktacje z dyrekcją teatru „Grand-Kina", by w sali tegoż kinematografu otworzyć w najbliższej przyszłości teatrzyk o charakterze artystyczno literackim na wzór istniejącego w Warszawie „Perskiego Oka" i „Qui pro Quo".

Powyższe teatrzyki cieszą się w stolicy szalonem powodzeniem i prosperują do skonale, najprawdopodobniej więc i publiczność łódzka chętnie powita podobny teatrzyk na swoim bruku.

Szczegóły trzymane są dotąd w tajemnicy ponieważ jednak dziennikarze są ludźmi niedyskretnymi, więc postaramy się wkrótce uchylić rąbek tajemnicy... (St.)

Gdy niema zgody w małżeństwie...

Zrozpaczony mąż targnął się na własne życie.

(n) 18-letnia Stefanja Podporska,

dzieweczka lekkich obyczajów

piękna i powabna, spędzała zwykle lato w cichej wiosce pod Piotrkowem u rodziny.

Miła dziewczyna miała roje wielbicieli, rekrutujących się przeważnie z synów gospodarskich.

Wieśniacy kochali się na zabój w

łodzianeczce,

a już najwięcej Wacek Bartczak.

Ten za Stefką formalnie przepadał. — Przestał pracować i stale przebywał w to warzystwie Podporskiej.

Po kilku tygodniach cicha wioska do wiedziała się o

zareczynach Bartczaka ze Stefką.

Plotkom przeróżnym z tego powodu nie było końca. Najwięcej zaś plotkowały matki, zawiedzone w rachubach ożenienia tego

bogacza wioskowego

ze swemi córami.

Ustały wreszcie „gadki" i starzy Bartczakowie zajęli się całkowicie przygotowaniami do sutego weseliska. Aż dnia pewnego dowiedzieli się, że.. Stefka jest

taka sobie dziewczyna.

Nastąpiła scysja rodziców z synem, Wacław jednak wbrew woli rodziców, sądząc, że Stefkę nawróci,

ożenił się.

Po weselisku, na którem wódka lała się strumieniami, z grubą gotówką w kieszeni i

parą tęgich koni,

młodzi Bartczakowie przyjechali do Łodzi i zamieszkali na szarem przedmieściu przy ul. Braterskiej.

Wacław kupił tu wóz i wynajmował się do różnych celów. Tymczasem żona za jęła się całkowicie

urządzaniem gniazdka

i gospodarstwem domowem.

Lecz nie długo trwała ta harmonja w ich pożyciu małżeńskiem. Niesnaski coraz częściej wybuchały w mieszkaniu Bartczaków. Flirt pani Stefanji ze znajomymi nie podobał się wielce mężowi. Na domiar złego zarobki pana Bartczaka zmniejszyły się znacznie.

Biedził się chłopak i wychudł niezmiernie. Żona zaniedbywała męża na dobre i ciągle chodziła z innymi. Często wracała nad ranem z wypiekami na twarzy, świadczącemi o

nieprzespanych nocach.

Nie mógł znieść takiej kompromitacji nasz kmiotek i postanowił umrzeć.

W dniu onegdajszym, upiwszy się pod nie, wyszedł z domu na pobliskie pole, trzymając w kieszeni

flaszkę z kwasem solnym.

Po kilku minutach namysłu zrezygnowany wychylił duszkiem

zawartość butelki.

Spostrzegli przechodnie leżącego i zatelefonowali po pomoc.

Karetka pogotowia Kasy Chorych odwiozła Bartczaka w stanie ciężkim do szpitala.

Tego się Chil nie spodziewał.

Sukienki czy szmaty?

(n) Chil Frid, właściciel

małego sklepiku z galanterią,

przy ul. Pomorskiej 41, kiedy zabrakło mu towaru, udał się do hal targowych przy ul. Kościelnej i kupił

tuzin sukienek dziecinnych.

Zapłacił za towar, paczkę położył obok siebie i wdał się w pogawędkę ze swym współwyznawcą.

Tymczasem obok rozmawiających począł kręcić się

podejrzany osobnik,

który, spojrzawszy się załotnie na paczkę, odszedł.

Po chwili wrócił, niosąc zupełnie podobną do leżącego na ladzie pakunku i ko rzystając z rozmowy kupca z klientem, błyskawicznie zamienił paczki.

Po skończonej pogawędce pan F.,

licząc na zysk,

podążał do swego interesu.

Znalazłszy się w domu, wziął się do roz wijania paczki.

I zdumiał się biedny Chil, bowiem miast sukienek, ujrzał kupę

brudnych szmat.

Podrapał się kupiec po łysawej głowie i doniósł o kradzieży policji.

Odszukaniem

pomysłowego złodzieja

zajął się V komisarjat P. P.

———o———

Pamiętajcie o inwalidach wojennych.

Dorożkarzu, pilnuj swej liberji!

(n) Mendel Frustewan,

zawodowy mistrz bata,

zamieszkały przy ul. Kiełbacha 8, korzystając ze świetnych zarobków karnawałowych, wyporządził „dryndę" jak się pa trzy, kupił uprząż ze świecidełkami, a co najważniejsza niezapomniał o pięknej libe rji dla siebie, której zazdrościli mu wszyscy

kolędzy po koźle.

Cieszył się Mendel jak małe dziecię i sładszy na dorożkę wyelegantowany i du mny rozpoczął swą codzienną pracę.

W dniu wczorajszym Mendlowi, odwo żącemu

ululanego gościa

na przedmieście, spadło koło u dorożki.

Gdy pasażer uiścił należną zapłatę i od szedł, Frusterman wziął się do

naprawy dorożki.

Liberję zdjął i położył na siedzeniu.

Gdy skończył pracę, poszedł na pobliskie podwórze, aby obmyć

zabrudzone ręce.

Wróciwszy stanął jak wryty. Liberji na siedzeniu nie było. Wskoczył piorunem na kozioł i zaciawszy konia pojechał do ko misarjatu, gdzie zameldował o kradzieży.

I tak nolens volens Mendelek

przeprosił stary „mundurek"

bowiem trudno w marynarce siedzieć na dorożce przez cały dzień.

Trup koński na podwórzu.

Ciekawy wypadek.

(x) Wczoraj późnym wieczorem na po dwórzu domu przy ulicy Południowej 23 wszedł jakiś

podejrzany człowiek.

Rozejrzawszy się dobrze po pustej prze strzeni, zwrócił swe kroki ku bramie.

Po minucie na podwórku rozległy się ciężkie stąpania i ciche cmokanie.

Jakiś lokator zaciekawiony szmerem na dworze wyjrzał oknem i zauważył

dwóch mężczyzn,

prowadzących konia, który ledwo wlókł sie.

Lokatora scena ta mocno zaabsorbowa ła. Tymczasem nieznajomi

wprowadzili konia

na sam środek podwórza i cichaczem umknęli.

Koń, obejrzawszy się na wszystkie stro ny, zakołysał się nagle ,padł i naispokojniej zdechł.

Jednocześnie w bramie domu rozległ się dziki śmiech, następnie tupot uciekających nóg. Pan Z., lokator-świadek tego wszystkiego zbiegł na dół, lecz nikogo tu nie zastał.

Odszukaniem właściciela zdechłego ko nia zajęła się policja.

R. M. AYRES. 7)

CZY PAMIĘTASZ?...

POWIEŚĆ.

Matka poszła za mną. Nie chciałam jej wpuścić, ale potem musiałam ustąpić. Rzuciłam się na łóżko, zupełnie straciwszy panowanie nad sobą, podczas gdy matka niezrażona memi wybuchami złości, starała się przemówić mi do rozumu.

Jestem bardzo niezadowolona z Janka, — rzekła. — Jego zachowanie było poniżej krytyki i bardzo mię dotknęło. Ale z drugiej strony nie rozumiem, dlaczego się tem przejmujesz, takie drobiazgi powinnaś ignorować zupełnie...

Zarumieniłam się po same białka ze złości.

— Drobiazgi! — zawołałam. — Powinnaś była słyszeć te wszystkie okropności, jakie opowiadał. Z drugiej strony cieszę się jednak, że się o wszystkiem dowiedziałam. Wiem tylko tyle, że nigdy nie wyjdę zamąż za pana Lowena, nawet jeżeliby jakiś monarcha na kolanach mię o to błagał.

Wiem dobrze, że me słowa były melodramatyczne i dziecinne; ale w tej chwili zdawało mi się, że jestem bohaterką największej tragedji, jaka kiedykolwiek miała miejsce pod słońcem.

— Przyznaję, że słowa pana Lowena wypowiedziane wobec przyjaciół Janka, nie są zupełnie poprawne i nie powinien był się w ten sposób wyrażać, — rzekła matka, cierpliwie znosząc moje wybuchy niezadowolenia.

Siedziała na niewygodnem krześle obok mego łóżka, ubrana jeszcze w strój wieczorowy, w oczach zaś malowało się znużenie. Bóg raczy wiedzieć, co ona właściwie czuła na dnie serca? I czy wogóle była zdolna do jakichkolwiek uczuć?

— Uważam, że nie powinnaś się decydować przedwcześnie, lecz poczekać z powzięciem postanowienia do chwili, gdy go zobaczysz, — dodała przekonywująco. — To naprawdę elegancki mężczyzna i mam nadzieję, że będzie ci się podobał...

— Janek mówił, że on pije, — wyrwało mi się mimowoli.

— Janek tak często mówi niedorzeczności, — odparła matka. — Zresztą pić i pić, to dwie różne rzeczy. Nigdy nie widziałam pana Lowena, ale wiem, że pochodzi z bardzo dobrej i kulturalnej rodziny. Gdyby był nawet zwolennikiem zabawy, to nie widzę żadnej przyczyny, aby się go bać panicznie, jak ty to czynisz, Loro...

— Janek opowiadał, że tam jakaś ko bieta wchodzi w grę i że pan Lowen uwa ża małżeństwo zemną za zwykły interes, — wybuchnęłam znowu ze złością.

Matka wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Decyzja będzie przecież zależała od ciebie, — rzekła. — Jeżeli kobieta wchodzi w grę, to od ciebie będzie zależało, czy on dla ciebie ją porzuci...

Zaśmiałam się rozpaczliwie.

— Dla mnie porzuci!... rzekłam z goryczą.

Spojrzałam na matkę z niemym wyrzutem w moich spuchniętych od płaczu oczach.

Na chwilę zapanowało milczenie; po kilku minutach przerwała je matka:

— Posłuchaj Loro, co ci powiem. Jeżeli mi przyrzekniesz, że zjawisz się na jutrzejszym obiedzie razem z panem Lowenem, postaram się, abyś była wystrojona, jak nigdy. Celestyna cię ufryzuje...

Zaśmiałam się, ale na dnie mego śmie chu kryła się gorycz.

— Celestyna wcale lepiej nie potrafi mnie uczesać odemnie samej, — rzekłam.

— Zresztą uważam, że spotkanie z panem Lowenem nie przyniesie nam obojgu żadnej korzyści; najwyżej nienawiść moja do niego spotęguje się jeszcze bardziej. Powtarzam jeszcze raz, że nie wyjdę za niego zamąż za żadną cenę.

— Odgarnęłam ramieniem włosy, zwisające na twarz. — Ach gdyby ciotka Anna nie była umarła! — wybuchnęłam z płaczem.

Matka nic nie odpowiedziała; nigdy zbytnio nie sympatyzowała z ciotką Anną i nie rozumiała mej miłości ku niej. Wstała nieco zirytowana.

Zdaje mi się, że niewiele żądam od ciebie, — rzekła chłodno. — Chcę tylko, abyś ten jeden jedyny raz siedziała przy stole z tym mężczyzną i zorjentowała się co w nim się mieści. Jesteś jeszcze młoda, Loro, nie wiesz, co pieniądze zna czą.

Zaśmiała się sucho i ciągnęła dalej:

Gdybyś miała tyle lat, co ja, namyślałabyś się dziesięć razy, zanimbyś powiedziała: nie, nawet, gdyby chodziło o czwartą część tej sumy, co tutaj. Czy nie gniewałoby ciebie, gdyby te pieniądze poszły na ten głupi szpital?

— Tam by z pewnością więcej się ucieszyli, aniżeli ja, — powtórzyłam z uporem.

— Tak ci się zdaje teraz, ale później.. Widzę jednak, że moje wysiłki, aby ci przemówić do rozumu, są daremne. Dlatego wolę z nich zrezygnować. Mam nadzieję, że nie wywołasz skandalu. Uczyniłam wszystko, co mogłam. Dobranoc.

(d. c. n.)

——:—:——

W labiryncie życia łódzkiego.

——x——

Chętnie płacimy, ale nie gotówką...

Clou bogatego zamówienia.

Charakterystyczny przyczynek do dziejów naszej „bezgotówkowości".

Groźna, wszystko i wszystkich ogarniająca epidemja, zwana brakiem gotówki, jest wprawdzie dla łodzian tematem mocno już na uwiąd starczy ciepiącym, ileż bowiem gada się już o nim i pisze... a jednak jest to temat wciąż aktualny, wciąż jeszcze niewyczerpany...

Na każdym kroku napotykamy się w Łodzi z przykładami, dowodzącemi, że chroniczna golizna sięga już granic absurdu...

CISZA, KTÓRA, BYNAJMNIEJ BURZY NIE ZWIASTUJE...

— Doszliśmy już, zdaje się, do niemożliwych granic, zaczął mi opowiadać wczoraj w cukierni pana St. właściciel znanej w mieście, renomowanej pracowni ubiorów damskich, cieszącej się zawsze w obecnej porze roku olbrzymim napływem klientek. W zawodzie krawca damskiego zaczyna się, jak wiadomo, teraz właśnie tak zwany sezon. Rokrocznie w połowie lutego zaczynały już napływać zamówienia strojnych łodzianek na wiosenne kostjumy. W tym roku jednak panuje cisza absolutna... Cisza, której — wbrew znanemu zjawisku przyrodniczemu — bynajmniej nie można sobie wytłumaczyć jako zwiastunki burzy... obstalunków...

BRZĘCZĄCY ŚMIECH, ZAMIAST BRZĘCZĄCEJ GOTÓWKI.

Jak w każdej innej, tak i w naszej dziedzinie panuje, naturalnie, kompletny zastój, jeżeli zaś widzimy od czasu do czasu jakąś klientkę, to zdarza się, że klientka taka daje raczej asumpt do brzęczącego humorem szubienicznym śmiechu, niż zarobek w postaci brzęczącej gotówki...

„MILJARDOWA" KLIENTKA.

Dziś n. p. — kontynuując mój rozmówca — wkracza do mej pracowni szykowna, w karakuły przyodziana pani. Dziwne, niecodzienne zjawisko: klientka! Nawiązuje się rozmowę, z której — ku niemałej mej przyjemności a i zdumieniu — dowiaduje się, że gość mój ma zamiar obstalować aż... trzy wiosenne kostjumy z własnego materjału... Rany boskie, myślę sobie, więc są jeszcze w Łodzi jed...stki, które nietylko mają pieniądze, ale jeszcze ich nadmiar nawet...

Po długiem oglądaniu żurnali i odnośnych przedwstępnych pertraktacjach pyta nareszcie „miljardowa" (jak ją w duszy już ochrzciłem) klientka moja o cenę.

— Jeżeli z własnego pani materjału: mówię, więc tylko za robotę — 50 złotych od kostjumu.

Z 50 ZŁOTYCH NA 30...

Jest to zwykła cena. Tymczasem klientka — słyszeć o niej nawet nie chce... Oczywiście — ustępuje, cóż bowiem robić... Po półgodzinnych przetargach — przyparty do muru i olśniony zarazem widokiem zyskania klientki, zamawiającej aż trzy kostjumy naraz — godzę się na... 30 złotych od kostjumu...

Jest to, oczywiście minimalna suma, przy której z pewnością zarobek mój równa się prawie zeru, cóż robić jednak przy takim braku roboty... Lepsze przynajmniej złudzenie, że jest jakiś ruch w interesie, niż zupełny w nim zastój... Myślę tedy, że sprawa załatwiona, tymczasem — teraz dopiero następuje clou bogatego obstalunku „trzech kostjumów naraz", clou, które jest tak wymowną oznaką charakterystyczną dla naszej bezgotówkowej epoki.

ZAPŁATA W... „OBRACHUNKU"...

— Proszę pana, — mówi „miljardowa" klientka moja, należałoby się panu zatem 90 złotych. Ale — przecież pan wie, jak teraz trudno o gotówkę... 90 złotych gotówką, to dzisiaj strasznie dużo pieniędzy, więc... Mąż mój jest właścicielem składu towarów manufakturowych, w interesie ogromny zastój, o pieniądze tak trudno, zatem mogę panu zapłacić te 90 złotych nie gotówką, tylko — towarem w naturze. Towarem ze składu mego męża... Czy się pan zgadza? Mój mąż obliczy panu towar, wzięty w obrachunku, z pewnością bardzo tanio... W przeciwnym razie musiałabym zrezygnować...

— — — — — — —

— Niechże pan teraz osądzi — kończył mój rozmówca — do jakich granic dochodzi u nas zastój i brak pieniędzy i jak wygląda obecnie „ruch w interesie", gdy zjawiają się klienci z takiemi obstalunkami i takie robimy „obroty"....

Obrazek może bardziej niż sto innych charakterystyczny, bynajmniej przecież nie jedyny w swoim rodzaju. Świadczy on dobitnie o tem, jak dalece brak gotówki na gruncie łódzkim dochodzi już do absurdu...

A fakty takie są poniekąd na porządku dziennym nie tylko w zawodzie krawieckim, lecz i w każdej innej dziedzinie...

(faun).

—oo—

Dobra rada.



Pacjent: — Doktorze, co mam czynić? Brak mi tchu przy wchodzeniu na schody.

Doktór: — W takim razie niech pan tylko schodzi ze schodów...



Modne zamiany

dają dobre utrzymanie.

Z chwilą, gdy przed dwoma laty bank w którym Klapiszewski piastował urząd dyrektora, przestał być instytucją finansową i przekształcił się w cukiernię, sytuacja stała się groźna.

Oboje Klapiszewscy długo rozmyślali nad możliwością wybrnięcia z tego położenia.

Ona proponowała eksploatowanie sześciopokojowego apartamentu, a więc pragnęła przyjąć sublokatorów, a nawet zająć się stołowaniem.

Klapiszewski, człowiek o szerszych poglądach i lotnym umyśle, projekt ten odrzucił i zadecydował, że od tej chwili nie pozostaje mu nic innego, jak tylko oddać się turystyce i krajoznawstwu.

Znalazł amatora, który wzamian za ów apartament w Łodzi oddał podobne mieszkanie w Krakowie i jeszcze dopłacił sporą kwotę.

Z zasobem grosza udali się więc Klapiszewscy na nową siedzibę, lecz tam bawili zaledwie kilka miesięcy, gdyż trafiła się znów bardzo korzystna okazja.

Ktoś wziął od nich ów lokal krakowski nadający się znakomicie na biuro i odstąpił im niezły pensjonat w Zakopanem, oczywiście z dopłatą, bo Klapiszewski innych tranzakcyj nie uznawał.

Spędziwszy lato w górach, znaleźli małżonkowie wśród swoich gości pensjonatowych zamożną damę, która dla zdrowia dzieci przejęła ów pensjonat, oddając Klapiszewskim swój ładnie umeblowany apartament w Bydgoszczy oraz dopłacając pewną kwotę za ambaras.

Pobyt w Bydgoszczy trwał parę miesięcy, bo szczęśliwy traf zrządził, że ten lokal nadawał się właśnie dla jakiegoś łódzkiego przemysłowca, który zamienił z Klapiszewskim swój piękny lokal w Łodzi.

Znalazłszy się ponownie na łódzkim bruku, Klapiszewscy nie mają zamiaru dłużej tu popasać, przyzwyczaili się bowiem do ciągłych zmian, które nic nie kosztują, a dają wciąż nowe wrażenia.

Podobno jakiś cudzoziemiec proponuje im zamianę tego lokalu na milutką willę w San Remo, ale nie wiadomo, czy interes dojdzie do skutku, bo Klapiszewski żąda stosunkowo znacznej dopłaty. A.

——:o:——

Ucieczka groźnego bandyty z więzienia kaliskiego.

Nieuważni dozorcy odpowiedzą za to przed sądem.

Z Kalisza donoszą:

Rzadki to wypadek, ażeby zbrodniarz-bandyta miał możność

zmylić czujność straży więziennej

i czmychnąć poza bramy więzienia, nie spostrzeżony przez ludzi, do tego przeznaczonych. A jednak zdarzenie takie miało wczoraj miejsce w

więzieniu kaliskiem,

skąd uciekł kilkakrotnie karany za różne przewinienia

Jan Mielczarek, bandyta.

Zajęty w malarni więziennej, pod jakimś pretekstem wyszedł na podwórze, skąd na stępnie przedostał się poza mury, uciekając w stronę Nędzerzewa. Spostrzegłszy ucieczkę Mielczarka, dozorca począł za nim strzelać, na co jednak nie zważał bandyta i w ubraniu więziennem biegł dalej, aż wreszcie zniknął z oczu goniących.

Zarządzony później pościg konnej policji za bandytą nie dał dotąd rezultatu, jednak mamy przekonanie, że niezadługo dostanie się on z powrotem w ręce sprawiedliwości.

Za zaniedbanie swoich obowiązków,

dozorująca straż więzienna

w osobach dwóch czy trzech dozorców zostanie pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Cios nożem prosto w serce otrzymał syn zamożnego wieśniaka na weselu.

Śmierć nastąpiła natychmiast.

Z Piotrkowa donoszą:

W dniu onegdajszym we wsi Kołków, tuż pod Radomskiem, odbywało się

sute weselisko,

na którem bawiło się przeszło sto osób.

Wódka lała się strumieniem, co niezbyt dobrze wpłynęło na młodych parobczaków; pijani załatwili pomiędzy sobą

dawne porachunki osobiste.

Nad ranem pomiędzy weselnikami, a mianowicie Józefem Kalczyńskim, Andrzejem Tomaszewskim, Bronisławem Wojtała i Wiktorem Raczkiem wynikła bójka, zakończona

śmiercią 20-letniego Kalczyńskiego.

Młody chłopak otrzymał silny cios

prosto w serce.

ostry nóż zagłębił się w piersi aż po rękojeść.

Śmierć nastąpiła momentalnie.

Goście, przerażeni widokiem

opływającego krwią trupa.

śpiesznie opuszczali dom weselny, a i zabójcy ulotnili się przezornie.

Zawiadomiona policja wszczęła natychmiastowy pościg i

występną trójkę ujęła

we wsi Wola-Przerębska. Tomaszewskiego, Wojtałę i Raczka osadzono w więzieniu.

Trupa zamordowanego Kalczyńskiego,

syna zamożnego wieśniaka,

zabezpieczono do czasu zejścia władz sądowo-śledczych.

Dochodzenie w toku.

SPORT.

Otwarcie sezonu piłkarskiego.

Zły teren był powodem ciężkiej gry.

15:2 dla Ł. K. S-u.

Skromniutkie afisze rozklejone na mieście obwieściły mieszkańcom otwarcie sezonu piłki nożnej przez Ł. K. S. i G. M. S... to też od południa zaczęła ściągać publiczność do parku ŁKS.

Zainteresowanie było zrozumiałe, spowodowane zresztą kilkumiesięczną przerwą a następnie trudno było pominąć okazji ujrzenia

dwóch silnych zespołów ŁKS.

Same zawody nie wypadły w dobrym stylu, choć widać było dużo zapału i chęci u piłkarzy. Zawodnione boisko, jak i godzinny deszcz wpłynęły ujemnie na przeprowadzenie gry emocjonującej i kombinacyjnej, nie przeszkadzało to jednak mistrzowi naszemu na inauguracyjnych zawodach osiągnąć ogółem

15 bramek przy 2 straconych.

GMS. okazał się godnym przeciwnikiem ŁKS., druga jego drużyna nie zrażając się tem, że trudno jej będzie sprostać zespołowi w którym wystąpili gracze pierwszej drużyny, wzięła energicznie do pracy nie dopuszczając czerwonych niemal do głosu. Dopiero, gdy

strzał Langego

zadecydował o pierwszej bramce, czerwoni rozpoczęli grę kombinacyjną i chwilami bardzo ładną, w czem prym wiodła trójka ataku: Lange, Lutowski i Korcelli, do których doskonale dostrajał się „Stolarz" na prawem skrzydle.

Śledź na lewem zbytnio osierocony, nie czuł się dobrze i nie mógł wykazać swoich walorów.

Znacznie lepiej powodziło się jemu w drugiej połowie gry, jednak wodnisty teren zachodniej części boiska nadawał się lepiej do pływania niż biegania, co oczywiście było przeszkodą do wyzyskania bardzo ruchliwego Śledzia.

W pomocy Otto popisywał się „główką" co mu przypomniało dobre jego czasy.

Przedmecz kombinowanej drużyny ŁKS zakończył się

wynikiem 9:0.

Przygotowany należycie grunt przez drugie zespoły i dopływ świeżej wody nie wpłynął zachęcająco dla następnych zespołów.

Dobre chęci piłkarzy musiały ustąpić miejsca kaprysom natury, piłka zatrzymywała się tam, gdzie sama chciała, powodując niejednokrotnie dobry humor lub złość między ubiegającymi o jej posiadanie.

Pierwsza połowa gry przechodzi zaszczytnie dla GMS,

który zdobywa dla siebie prowadzenie, później dopiero ŁKS się rewanżuje i wynik remisowy utrzymuje się do przerwy.

Gra przez cały czas otwarta, dopiero pod koniec przynosi zwycięstwo czerwonym w

stosunku 6:2.

Niedzielnych wyników nie można brać za miernik sił obu stron, gdyż śliska i ciężka piłka, a do tego zły teren nie pozwoliły wykazać należytych umiejętności piłkarzy, niewątpliwie jednak GMS wyszedł z tych spotkań więcej zadowolony niż ŁKS.

Trzeba przyznać, iż zwolennicy piłki nożnej, których się zebrało

koło 1500 osób

po tych inauguracyjnych zawodach wynieśli dobre wrażenie, a najwięcej zadowolnymi byli z tanich biletów.

Ł. K. S. II --- G. M. S. II 9:0 (4:0).

Lange przypomina sobie dawne czasy.

ŁKS II, a właściwie kombinowany, przedstawia się dość poważnie dla swego przeciwnika.

Początkowo GMS atakuje, lecz stopniowo ulega rutynie czerwonych.

Atak ŁKS pracuje kombinacyjnie, zwłaszcza trójka środkowa: Lange, Lutowski i Korcelli, którzy okazali się niebezpiecznymi strzelcami dla każdego zespołu.

Pierwsza połowa przynosi 4 zwycięskie punkty dla czerwonych, nie przeszkadza to jednak przeciwnikowi zbliżać się często pod bramkę ŁKS.

Po przerwie ŁKS opanowuje sytuację, ponieważ GMS okazał się do zawodów mało jeszcze przygotowanym.

Jeszcze 5 razy grzęźnie piłka w bramce GMS i zawodnicy zmuszeni są ustąpić miejsca następnej partji.

U zwycięzców wyróżnił się przedewszystkiem

atak:

Śledź, Lange Lutowski, Korcelli i „Stolarz".

Niezrównanym był „Stolarz", a Śledź był za bardzo opuszczony przez Langego.

Lutowski czuł się trochę niepewnie i trzymał się zbyt daleko od łączników.

Pomoc z Ottem na czele nie wykazała złych stron, a obrona, Gałecki i Mikołajczyk wraz z bramkarzem umieli dobrze dostosować się do całości.

W GMS bardzo ofiarnie pracowała obrona, zwłaszcza Wyppych.

Sędzia p. Izrael dobry.

Zdobywcami bramek byli: Lange — 4, Korcelli — 3 i Lutowski — 2.

———o———

Ł. K. S. --- G. M. S. 6:2 (1:1).

Najlepszą częścią w drużynie mistrza była pomoc.

Niemniej ciekawie zapowiadał się występ pierwszej drużyny naszego mistrza, który za przeciwnika obrał sobie jeden z poważniejszych zespołów kl. B.

ŁKS wystąpił w następującym składzie: Szalewicz — Kowalczyk, Kowalski Z. — Jasiński, Trzmiel, Gabryel — Ciechcki, Janczyk, Radomski, Miller i Durka.

GMS: Karolczyk — Neujar, Wyppych — Król, Wagnowski, Kuczyński, — Podlaski, Herc, Kazimierczak, Szor i Rettig.

Gra od samego początku do końca otwarta, wykazuje

dużo ambicji

w drużynie GMS, która doceniając wyższość przeciwnika stara się mu godnie przeciwstawić.

Ataki czarnych stwarzają kilkakrotnie niebezpieczną sytuację pod bramką czerwonych, a

piękny strzał Kazimierczaka

daje prowadzenie GMS-owi 0:1.

ŁKS potrochu rozgrywa się i jedna pomyślna akcja zakończona główką Durki wyrównuje szanse mistrza.

Wynik remisowy 1:1 utrzymuje się do przerwy.

Po zmianie stron, Janczyk nieuchronnie pakuje piłkę do siatki, lecz GMS niedługo odbija straconą bramkę.

Karny, za

sfaulowanie Durki,

wyzyskuje pewnie Radomski. Od tego czasu przewaga ŁKS staje się, aż nazbyt widoczną, liczne strzały kierują się na bramkę GMS dając pole do popisu Karolczykowi.

Pod bramką czarnych panuje chwilami tłok, tak, że atak ŁKS musi często cofać piłkę do swojej pomocy.

Silny strzał Radomskiego i dwukrotny zamach Trzmiela powiększają zwycięstwo ŁKS do 6 bramek.

Najlepszą częścią w drużynie ŁKS była pomoc,

atak działał niejednolicie. Najsłabszą częścią drużyny była obrona, ale też i ona miała trudne zadanie, gdyż łapać piłkę ciężką i mokrą z powietrza lub z miejsca nie należało wczoraj do rzeczy łatwych.

Szalewicz miał znacznie mniej pracy niż jego przeciwnik.

Trzeba przyznać, iż GMS na pierwszym swoim występie

olśnił widzów

swoim zapałem, ambicją i zupełnym spokojem w grze.

Choć wynik dla nich wczoraj mógł być gorszym, to jednak nie przeszkadza sądzić, iż po kilku występach staną się oni poważnym przeciwnikiem każdej drużyny A klasowej.

U czarnych dobry był atak i obrona.

Sędziował dobrze p. Fiedler. K.

Rugby jest młodszą siostrzycą piłki nożnej.

Ongi uprawiali go sztubacy w mieścinie angielskiej Rugby --- dziś cały świat.

Zarys historyczny i ogólne zasady gry.

Ewolucja sportu w Polsce rozwija się niczem nie tamowaną siłą wewnętrzną. Coraz więcej przybywa czynnych zwolenników coraz więcej biernych admiratorów, nawet i czynniki państwowe zaczynają uznawać konieczność popierania sportów.

I RUGBY MA SWOICH ZWOLENNIKÓW.

Wraz z tem zainteresowaniem się sportu wzbogaca się w Polsce lista uprawianych ćwiczeń cielesnych: lekko-atletyka, gry amerykańskie (volley i cackett ball), boks, narciarstwo i hockey zdobywają sobie liczne rzesze zapalonych amatorów. Również gra rugby, tak popolarna na Zachodzie zaczyna przyjmować się u nas, w czem prym wiedzie Warszawa.

Nie od rzeczy tedy będzie w krótkich słowach scharakteryzować tę piękną grę.

KOLEBKA RUGBY.

Historja rugby jest długa, są poszlaki, że już Rzymianie uprawiali tę gałąź sportu pewnem jest natomiast, że nazwa „rugby" pochodzi od jej najżywotniejszego ogniska — małej angielskiej mieściny Rugby. Podlegając stopniowym modyfikacjom zabawa żaków szkoły rugbijskiej stała się jednym z najpopularniejszych sportów Europy, Ameryki, ba nawet Australji i wysp Nowo-Zelandzkich.

Na czemże więc polega jej urok, gdzie tkwią przyczyny tej popularności? Jak wogóle wygląda, jak się odbywa? Oto pytania na które pobieżnie odpowiemy.

GRA 30 LUDZI.

Rugby jest grą tego samego typu co i piłka nożna: ośrodkiem jej to mała jajowatego kształtu piłka — którą należy zdobyć upragniony — punkt — goal. Są także dwie bramki — o wyglądzie dużego drukowanego (H), jest także konieczny obrosły trawą plac (144×70 m.). Dwie walczące partje liczą każda po 15 ludzi; od tego momentu musimy pomówić o różnicach między piłką nożną a rugby. Zasadniczo bowiem „piętnastka" dzieli się na cztery grupy: przodowników, „połówki", „trzyćwierci" i arjergardę — ale ilość poszczególnych grup i sam system rozstawienia zależy od taktyki danej drużyny. Każdy gracz ma prawo dotykania piłki całem ciałem, może ją kopać rzucać (tylko w kierunku swojej bramki) popychać głową, biec, trzymając w ręku i t. p.

ABY ZATRZYMAĆ GRACZA.

Z chwilą jednak, gdy w rękach jego spoczywa piłka przeciwnicy mają prawo łapania, wyrywania mu jej, chwytania go za nogi i t. p. Chodzi bowiem o zatrzymanie gracza: gdy ten przebiegnie przez linię bramki (nie przz samą bramkę!) zyskuje dla swej partji punkty.

Te zasadnicze przepisy stwarzają z rugby grę znacznie trudniejszą i żywszą od piłki nożnej, grę, w której siła szybkość, decyzja poszczególnych graczy, oraz idealne zgranie techniczne i taktyczne całego zespołu, głównie w dziedzinie podawania i t. zw. „zmagań" — decydują o wygranej.

DWA ŻYWE TARANY.

Zmaganie to także swoistość rugby. Oto dookoła piłki grupują się z obu stron gracze, stwarzając coś w rodzaju żywych dwóch taranów; gra polega na tem, aby przeciwników odepchnąć a jednocześnie — dać możność „urwania" się z piłką swojemu partnerowi.

PRZEPISY OCHRONNE.

Przepisy rugby są bardzo szczegółowe: punktacja jest niejednolita — zwyczajne przebiegnięcie linji daje 2 punkty; przestrzelenie (nogą) bramki 3; przytem istnieje cały szereg reguł ochronnych, dotyczących „plakowania" (chwytania biegnącego gracza za nogi. „Zmagania" i t. d. — ale nie sposób tego wszystkiego tutaj uwzględnić.

Przepisy te były konieczne do wprowadzenia: Jak łatwo wywnioskować z przytoczonych ogólnych zasad daje rugby pole do całego szeregu aktów podnieconego temperamentu lub wrodzonej brutalności. Dawniej w Ameryce matche rugby kończyły się poważnem poranieniem części uczestników.

RUGBY JEST SPORTEM ZDROWYCH LUDZI.

Obecnie i sam styl gry, przesuwający punkt ciężkości ze zmagań do podawania i zaostrzenie przepisów „ochronnych" spowodowałby, że rugby stało się o wiele bezpieczniejsze, nie tracąc nic na swej żywiołości, stało się bardziej skomplikowane — bo wymaga nie byle jakiej zdolności kombinacyjnej.

Rugby jest zatem sportem zdrowych ludzi, sportem wymagającym jednocześnie i siły i szybkości i inteligencji, sportem o swoistym rytmie — który właśnie porywa graczy i widzów.

Te właśnie zalety stanowią przyczynę popularności rugby.

Dokąd pójdziemy wieczorem?

Wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki. Czytelnia i audycje radjofoniczne — MIEJSKA GALERJA SZTUKI W ŁODZI — Park im. Sienkiewicza.) Otwarta od godz. 10 rano do 23 w.

MUZEUM MIEJSKIE (Piotrkowska 91). Działy: etnograficzno-historyczny i przyrodniczy. Otwarte codziennie od 10 do 14 i 16 do 19.

MIEJSKA GALERJA SZTUKI. Park im Sienkiewicza. Wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki. Czytelnia i audycje radjofoniczne. Otwarta od godz. 10 rano do 23 wiecz.

POLSKA Y. M. C. A. (Piotrkowska 89) Czytelnia pism i bibljoteka otwarta codziennie od 4 ... wieczór.

TOWARZYSTWO „WIEDZA". ul. Piotrkowska Nr. 103. Czytelnia pism dostępna dla wszystkich od godz. 5 do 8 codziennie.

CZYTELNIA TOW. PRZYJACIÓŁ FRANCJI (Piotrkowska 103) otwarta codziennie od godz. 6 do 8 wiecz. z wyjątkiem świąt i piątków.

BIBLJOTEKA RADY PEDAGOGICZNEJ

Państwowa Centralna Bibljoteka Pedagogiczna, ul. Andrzeja nr. 7 (front I-sze piętro) otwarta codziennie od godz. 4 do 9 wiecz.. w niedziele od 9 rano do 6 po południu.

Miejski Kinematograf Oświatowy — „Odrodzona Polska".
Pocz. przedstawień o godz. 5, 7, 9 wiecz.

Teatr Miejski — „Koncert".
Początek o godz. 8.15.

Teatr Popularny, ul. Ogrodowa Nr. 18 „Za Oceanem"
Początek o godz. 8.15.

———:::———

TEATR MIEJSKI.

Dziś w poniedziałek po raz ostatni dowcipna, wesoła komedja Bahr'a „Koncert" z udziałem Stanisława Stanisławskiego. Ceny Zniżone (od 50 groszy).

Jutro, we wtorek, po raz 3-ci fascynująca, niezwykła komedja „trójkąta małżeńskiego" L. Pirandello „Gra ról" z Stanisławem Stanisławskim. Bilety ulgowe ważne.

W środę i czwartek dwa dodatkowe występy Zofji Czaplińskiej i Marji Malickiej w przemiłej komedji francuskiej „Ładna historja". Ceny zniżone.

W piątek raz jeszcze niezwykła „Gra ról" z Stanisławskim.

W sobotę o godz. 3.30 powtórzenie prześlicznej bajki w 8 obrazach „Królewna Śnieżka" z Zofją Gryf-Olszewską w roli tytułowej. Ceny najniższe (od 40 groszy). Bilety od jutra (wtorku)

TEATR POPULARNY.
Ogrodowa 18.

Dziś, w poniedziałek o godz. 8.20 wieczorem po cenach najniższych grana z olbrzymiem powodzeniem przez 14 wieczorów z rzędu barwna operetka komiczna w 4-ch aktach „Za Oceanem" w wykonaniu całego zespołu z pp. Zielińską, Bronowską, Brandtówną, Bieleckim, Puchalskim, Moranowiczem i Urbańskim na czele. Pozatem w przedstawieniu udział bierze nowo-zaangażowana para tanczerzy pp. Nowinskich i liczny zastęp statystów w barwnych i efektownych kostjumach.

Najbliższą premjerą Teatru Popularnego będzie dawno niegrana w Łodzi Lygja z powieści H. Sienkiewicza, Quo-Vadis. Kasa czynna od godz. 12 — 3 i od 5 — 10 wiecz.

Radio-kącik

Na poniedziałek 22 lutego

WARSZAWA (380 m.) Godz. 18.00—20.00 — koncert zespołu orkiestralnego i śpiewy.

LONDYN (365 m.) Godz. 18.00 muzyka taneczna: godz. 20.10 — gra na fortepianie; godz. 21.45 — 23.00 produkcje muzyczno-wokalne; godz. 24.00 — jazz-band.

PARYŻ — Radio-Paris (1750 m.) Godz. 18.30 i 22.15 — koncert.

BERLIN (505 m.) Godz. 17.00-18.00 koncert trio: godz. 20.10—22.00 — muzyka operowa; godz. 22.30—24.00 — muzyka do tańca.

———:0:———

Cena prenumeraty:

W Łodzi miesięcznie	zł. 2.70
Dla robotników	„ 2.20
Na prowincji	„ 4.00
Zagranicą	„ 6.00

„Łódzk. Echo Wiecz." i „Kurjer Łódzki" łącznie zł. 6.90
Odnoszenie do domu 30 gr.

Ceny ogłoszeń:

Przed tekstem i w tekście 30 groszy za wiersz milimetrowy 1-łamowy (strona 4 łamy)

Za tekstem	25	4
Nekrologi	25	4
Komunikaty	25	4
Zwyczajne	6	10

Drobne 10 gr., poszukiwanie pracy 5 gr. za wyraz — najmniejsze ogłoszenie 50 groszy.

Ogłoszenia zamiejscowe o 50 proc. drożej.
Zagraniczne o 100 procent drożej.
Za terminowy druk ogłoszeń, komunikatów i ofiar administracja nie odpowiada.
Artykuły nadesłane bez oznaczenia honorarjum uważane są za bezpłatne.
Rękopisów zarówno użytych jak i odrzuconych redakcja nie zwraca.

Wydawnictwo: „Łódzkie Echo Wieczorne". Wyd. Jan Stypułkowski.
Odbito w drukarni Tow. Drukarsko-Wydawniczego „Kurjer Łódzki" ul. Zawadzka Nr. 1.
Za redakcję i wydawnictwo odpowiada: Władysław Ulatowski